

W wiadomościach
Polskie

THE
POLISH NEWS
WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE
TYGODNIK

W NUMERZE:
Kazimierz Wierzyński: Barbakan warszawski. — Marynarka polska. — Zygmunt Nowakowski: „Chorobę wykurza, nie mnie!”. — Politicus: Tu i w Stanach. — Stanisław Mackiewicz: Idea słowiańska. — Florjan Sokołowski: Anthony Eden. — Jadwiga Dziewulska: Przez kraj śpiewających wiatraków. — Wacław Babiński: Analogie. — Słowo z Polski. — Ksawery Pruszyński: Wystawa narwiecka. — Zbigniew Grabowski: Wśród księzek angielskich: Powieść i przypowieść Well-sa. Zdrada kościółców. — Alfa: Rozmai-tości. — List do Ksawerego Pruszyń-skiego. — P.E.N. Club polski w holdzie Grecji. — Skarbnica Polska. — Piotr Chojnowski: Wigilia wojewody. — Bo-hdan Zaleski: * — Konstanty Gaszyński: Mogiła Sułkowskiego w Egipcie. — Marja Konopnicka: *.

ROK II — NR. 6 (48) — LONDYN
NIEDZIELA 9 LUTEGO 1941

REDAKCJA:
36, GREAT RUSSELL ST., LONDON, W.C.1
Telefony: MUSEUM 2346 i 2563
ADMINISTRACJA:
20, BLOOMSBURY ST., LONDON, W.C.1
Telefony: MUSEUM 9093
CENA PRENUMERATY
kwartalnie
w Anglii 6s. 6d.
w innych krajach \$1.50

Należność za prenumeratę prosimy przekazywać
czekiem lub „Postal Order” na zlecenie:
M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

BARBAKAN WARSZAWSKI

Ślawie imienia Stefana Starzyńskiego, budowniczego i obrońcy Warszawy, bohatera wojny z Niemcami

Jeszcze mnie zbudzili, wydarli spod cegły,
I z tych krząnków patrzeć przed siebie kazali,
Rozsunie jeszcze ściany, chcę bardziej rozległy
Ogarniać z baszty widok; za mury i dalej
Z brzegów stromych spojrzeć; za wisłane legi,
Za lasy i piaszczyśka, w równinę szeroka,
Lecieć tędy jak ongi strażujące oko
Leciła z górnych blanków, i po widnokręgi
Opasać co jest moje...

Wiało stąd Mazowszem,
Szumiły tłuste pszczoły i olszyste drzewa,
Na polanach trawiastych wiatr trząsł głuchym owsem,
Płemiły się stokłosy i szorstka kostrzewa,
A zima między sosny, w ośnieżoną zielen
Wchodził, cicho stąpając, czarodziejski jelen
I z rogów złotych ogniem wigilijnym świecił.

Pamiętam tę urodę. Cicho biegły rzeki,
Dziś jeszcze senna fala na tym brzegu pluszcze;
Lecz w korzeniach drżał pomruk, szedł gowor daleki,
Piorun w dęby uderzał, paliły się puszcze:
Łuny stały na czatach. Wiatr pożory niecił.

Poszedł wtedy rozciąć mieczem wiek po wieku
Kto spać w tym kraju kładł się z otwartą powieką:
Chrobry mierzył Południe, Północ — Krzywousty,
Na podzwonne, na smutny pogrzeb Jagiellonów
Batory z dział bić kazal do cerkiewnych dzwonów —
A naród gwał już, jechał saniami w zapusty
I na równinie tłumnym zakrecał kuligiem,
Konie rwały po śniegu ognistym wyscigiem,
Smola w pędzie płorła i z białych trzaskali
Aż wiatr pogasił światła, na głowim siał pustej
I wszystkie drogi przysnuł zawieja.

Co dalej?

Rozsunie jeszcze ściany. Patrzeć mi kazali.
I oczy wytężyłem czerwone. Lecz błądły.
I przepatrzyć tę ciemność pragnąłem. Daremnie!
Zorwały się kamienie nad sercem, upadły,
Gruz pękał na fortyce i sypał się we mnie,
Trzeszczały krokwie stare, rozpętało się próchno,
Słyszałem jak most runął, strzelnice jak głuchną,
Jak miecz ryccerze łamią, odchodzą bezsilni.
... Puhacz usiadł na dachu i błyskał z czatowni.

Lepiej było zejść niżej, skryć się, zapaść na dnie,
Ruiny zgruchotałe rozciąć bezładnie,
Zakopać się w piwnicach, w duchocie, pod ziemią,
Mchem się powlec i żywcem zamurować w mury:
Baszty w ścianach zastępy kominem dogory,
Na spódzie puste fosy, długie trumny, drzewia.

Tu wdole nie nie słychać; czasem tupot nagły
Po ulicach przeleci, odbije się głucho,
To pewnie lud powstaje, ma nóż za pazuchą
I dęga nim zracjów. Słyszysz? — tłumy ich dopadły
I Kossakowskich w nocy them po bruku włoka.
To stąpa zemsta.

— Słysz, oddycham głęboko.

Aż odszedł król ostatni.
Nad kopcem mych gruzów
Sępy leciały krzycząc, że miasto wyjedza,
I ciągnęły za wojskiem cesarza Francuzów
I ziemie strątowane obsiadały miedzą
Szepalarami szkieletów, ptaki trupożerze,
Jadły mózg z ciepłych czaszek, gryzły martwe serce.

A jednak ktoś mi budził. Ktoś tu biegł pod wieczór
W mundurze Nowym Światem; w noc po Starem Mieście
Lud ciągnął pod Arsenal. Ktoś mi wtedy przeczł,
Dostyszał w grudach ziemię po cichym śleszcie,
Jak sypie się oknięta i w głąb się obsiwa,
Sło razy pognębiona, kopytem rozbila,
Pije krew rozlewana i na grobach cznwa.

Okrutna rosa schnie już, i nowa krew świta.

Szopen jechał na koncert a Juło do Sally
Na podróżnym tłumoku pisał pożegnanie:
„Oczywiście miła, żegnaj!” — i długo plakali
Gdy w kwietniu krzykiem wiosny wybuchły Ignie
I gdy w liściach wrześniejących, na wiorstach szesnastu
Paskiewicz tłumem zaległ, wybił oczy miastu
I kraj cały w ślepocie pograżał, poszarpał,
Kibitkami rozdzwonił, wywieszał na szkarpach.

Nie płaczcie, matki-wdowy, teraz ani później,
Ile razy was listem przestrasza podróżni,
Ile razy nadzieję straconą przywołają,
Z Lipska książki tajemne i pisma z Paryża:
Jeszcze tej ziemi cierpieć, otrząsać się grozą
W kościele Karmelitów i kłękać w krzyża.
Pocie to wyspiewać, miech kocha i bluźni.

Bo czy ją świat usłyszysz? Wciąż natęga słuchów,
Przez sen krzyknęła znów: ze strzelby tatanej,
Na podmokłych ostępach, z podłaskich wydumków
W kozacki pułk celuje, do papachy ruskiej,
Postrzały leczy błotem, pajęczyna rany,
I krzyczy do Europy chłopstwo księdza Brzózki.

Aż krzyk się zmienił w szepty, a szept w — zamyślenie,
Zamyślił w gniew palacy, i posłły kurenda
Wokół, po całym kraju, i krążył tak będą,
Spowiadać się z sekretów, wywoływać cienie,
Krzyż w lasach listowiem owijać tajemnie,

Serce szepieć do buntu, ćwiczyc doostatka,
W każdy wieczór wspominać będzie każda matka:
Podjudzaj dumę, ziemio — już nie nadaremnie!

Bo wyjdzie z twoich czadów, od gusel odwyknie,
W zecerni się zaczął, w robotniczych czcionkach,
Rozda broń, zwoła wojsko i potem, gdy krzyknie
I mundurzy posieje na krakowskich łakach
A żołnierzom iść każe wszystkiemu naprzekór,
Nie cofaj się, bezwolna, nie wjdiesz tym ręką,
Tej sile, którą wezwał, i mieczom, co przekul!
Nie odda cię za piękność królewskim Łazienkom,
Ani chłopom za biedę, ani panom za nic,
Zwalone ściany dźwignie, słup wbiye w granic,
Opornych będzie karał a odór piwniczny
Powiewem swego płaszcza rozpędzi daleko

Pisałem to rok temu.

I powietrze wolności przywoła tragicznej,
By z otwartą umierać i żyć tu powieką.

Podniósł nas. Czuje w głębi ruch mego muru,
Dźwignię ściany rosną, piwnice otwarto,
Ktoś wola mnie, bym wstawał i bym piał się górą,
Zaciśkał pas kamienny i świecił tu wartą.
Czuje jak gruz się kruszy, odpada spod cegły.
Widzę miasto i wolność.

Patrzcie ze mną dalej.
Rozsunie jeszcze ściany. Chcę bardziej rozległy
Ogarniać z baszty widok.

Tak mi tu kazali.

Pisałem to rok temu.

Dziś gdy szukam rymu,
Co przyszłość miał tym murem wywodzić obronny,
Nie mogę słowa znaleźć, czuje zapach dymu,
Gruz pod stopą, i w dźwięku się gubie podzwonnym,
Ach, jak innym, niż echo w tych wierszach użyte,
Echo dział, armat króla, Batorowej sławy —
Dziś, gdy piórem dotykam się ruin Warszawy,
Nie przyszłość jej mam w oczach, lecz grobową płytę.

Ten poemat miał rozwiać mrok na horyzoncie,
By z barbakanu Prusy było widać nasze,
Jak patrol na północnym posuwać się froncie,
Brać ziemie aż do morza i ustawiać strażę,
Potem na Wschód miał krzyknąć, bo Rzeczpospolita
Przecieka tam przez palce, jak woda ze sita,
Na Wschód, za śliską przełęcz, gdzie stałszy okraciem

Jedziesz w przepaść z Maryją i święconym znakiem,
A w stębach grają czajki, wiatr bodajki pędzi,
Dziki wiatr na Jagiellów bezładnej krawędzi.

Nie dla pustej to wszystko miał mówić przechwałcy,
Ani by naród w pysze doskonalej próżnej,
Lecz aby stanął lud mój, podobny do skały,
I nie włócił się po wiekach w niewoli podróźnej,
Kaleka przetrącony, co wyciąga ręce
Do moźnych tego świata, jak po kęs jałmużny,
Po wolność utraconą! Nie, już nigdy więcej!

Słowa te miały rosnąć jak mur odnowiony,
Obronny i zdobywczy, widny z każdej strony,
A barbakan miał bramy otworzyć forteczne,
Bramy na świat — i wolne już po wieki wieczne
Dać Polsce wrota Rzymu.

Tak myślałem i śniłem...

Dziś gdy szukam rymu,
By pod szerokim łukiem tej wolnej przemości
Ustawić posąg kraju jak mu wola boża
Łacinę polską wargą kazala najgłośniejszą
W Północ ze śródziemnego rozpowszechniać morza;
Gdy myślę, by z marmurów ponad muskuł mocy
Wydobyć łot anielski i wbić go wysoko
Kregiem, który nad Polską wpisał prorocy,
I taki kościół u nas zbudować opoka,
Niezmierzona przez piekło...

Dziś gdy szukam rymu
I gdy patrzę przed siebie, dokoła lub górą,
Zewsząd groza pod chwiejne stacza mi się pióro,
Naród, zamiast na szczycie, znów widzę na dnie,
Kurcz wojny gryzie w oczy, opada bezładnie
Na stargane chorągwie, na bezczesne czoła —
Dziś gdy patrzę przed siebie i szukam dokoła
Jakim zniszczenie nasze przyrównywać dziełom.
Z Rzymu po całej Polsce widzę Colosseum.

Ach, bo pogнали znów saniami w zapusty
I po równinie tłumnym jechali kuligiem,
Konie rwały po śniegu ognistym wyscigiem,
Smola w pędzie płonęła i biczem trzaskali...

Z wielkości samotniczej dźwięk pozostał pusty
I groby śród jałowców.

Co dalej, co dalej?!

Jedno nam ocalało przestroga okrutna,
Że wolność jest w tym kraju więcej niż tragiczna,
Że bić się o nią trzeba jak żołnierz o Kutno,
Gdzie krwią spłynęła każda wierzbą oholiczna,
Jak o Lwów, jak o Modlin; jak o każde miasto
Nad naszą się dywleją białe jedenastą
Pallas-Alene, bóstwo męstwa i rozumu...

Bo bił się żołnierz chrobry, padał chłop przy chłopie
(Śród nas dziś o tem głucho i milczą w Europie),
Z bagnietem szedł po nocy, gdy spało żelastwo
I gdy czołgi czekały aż zrobi się jasno,
Bagnetem szukał serca w niemieckim mundurze,
W lasach ploszył się szturmem, kłut przez serce w ziemię,
I tak ja krewia polewał piechur po piechurze,
Baterje tak wołały, tak dzwoniło strzemię,
Wiedzione przez boginię męstwa i rozumu...

Gdy zgasił czas wojenny, gdy ziemia odkwitnie,
Tłuste pszczoły gdy wleczą z lipowego szummu,
A w polach malowanych srebrnie i błękitnie
Znów śród sianokosów polska wieś spokojna,
Jak bukoliczny siadzie na Mazowszu motyl —
Uwierzyć, czas ten będzie tak groźny jak wojna,
Lwy niech się wtedy legną u morskich Termopil,
I z tych ścian pełnych dzisiaj biblijnego płaczu
Drabinę niebotyczną wyprowadzi Jakób
I najtrudniejsze gwiazdy nam przyszłość wyznacza,
A naród, cały naród, jak sięgnąć daleko
Dzień i noc patrzeć musi otwartą powieką
W érenicę przeznaczenia, w Rzym na Wielkiej Wistie.

Muzo dziejów! Myślałem tak i dziś tak myślę.

A zapytacie z czego wziąć siłę i wznosić
Po niewiadomo który raz poczęte dzieło,
Czy śmierci nie za mało, katakumb nie dosyć,
Gdy tyle ognia zgasało, tyle krwi spłynęło,
Z czego ludzi budować, gdy okrutnie ciecie
Po twarzy i po dziejach przeszło znów jak skaza,
Powiadam wam — jest jedno na wszystko zakłęcie
I jedna nieprzebyta jest przed nami koleja,
Czy to kogo upaja czy to kogo boli:
Z żelaza muszą powstać Polacy, z żelaza.

Kask nad czołem genjuszu i włócznia przy boku —
Taki posąg narodu powstanie, Pallado,
Nad miastami w ruinach i nad łosem w mroku,
Nad nieusłonia nigdy w tym kraju zagładą.

Miecz blysna i sława, nasz arsenał dumny,
Plac opromienia, zamek, katedralne ściany,
Króla, co w przeszłość patrzy z wyniosłej kolumny,
I lud, co znaku czeka, na murach zebrany.

I wtedy niech się Boży sąd nad nami stanie
I wyrok z gwiazd niech spada zaświatowym szumem:
Wyjdzie wiekom naprzeciw przez most w barbakanie
Świecić włócznią i czołem, męstwem i rozumem.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI.

Pisane w listopadzie 1938
i w listopadzie 1939 roku.

MARYNARKA POLSKA

fo. PIKIEL



(1) ARTYLERJA PRZECIWLOTNICZA (2) DZIAŁA (3) STARSZY PODOFICEROWIE (4) SYGNALISTA (5) „BŁYSKAWICA” I „PIORUN”



ZYGMUNT NOWAKOWSKI

„CHOROBE WYKURZĄ, NIE MNIE!“...

Powoli, powoli wojna robi z nas barbarzyńców. Zwiedzając z musu przeróżne obce kraje i sławne, piękne miasta, przechodzimy obojętnie obok cudów przyrody i dzieł geniuszu ludzkiego. Wedrujemy przez świat w pewnym sensie za darmo, choć to „za darmo“ kosztuje okropnie wiele. Czyżby ktoś z nas mógł przypuścić że kilka miesięcy przesiadzi we Francji, w Anglii, że pozna przelotnie Węgry, Włochy, Grecję czy nawet Palestynę, Egipt albo Cypr, że osiadzie na dłużej w dalekiej Brazylji, w Kanadzie, żywica i bezpieczeństwem pachnącej? Tragiczna, doprawdy, „gratka“! Pomnę, gdy rok temu przemocą prawie zawieźli mnie rodacy z Buffalo nad wodospady Niagary, patrząc na nie, myślałem o dolinie Roztoki i o malej srebrnej siklawicy w Strążyskiej. Bo też, po prawdzie, nas, turystów ciupaszem idących, nie obchodzi nic te obce kraje. Myślimy ciągle o jednym, jedynym a najpiękniejszym na świecie. Im lepsze wiadomości z Afryki, z Ameryki, czy z Grecji, im dłużej dnia, im bardziej przejaśnia się na horyzoncie, tem bardziej nie widzimy przed sobą nie innego tylko ten kraj jedyny...

Widok afisa teatralnego napelnia mnie odrzą. Mingo siedemnaście miesięcy, i byłem w kinie raz jeden, ale ucieklem w połowie seansu. Zato cytąm sporo, choć także jak barbarzyńca. Nie obchodzi mnie nie albo nawet i drażnią wartości artystyczne a rozkoszowanie się nimi uważam za stratę czasu. Tym samym sposobem polknąłem świeżo „Placówkę“*). Podczas galopującej lektury chwila tylko ulegałem czarowi tego arcyciela, na moment krótki zatrzymywały mnie opisy np. burzy, lasu, mrozu albo teatr wyobraźni Maćka Owczarza, jego śmierć lub śmierć Staśka, nie dalem się uwieść sęnom czy epizodom, pełnym humoru najprzedniejszego czy głęboko wzruszającym. Pędziłem i pędziłem, obracając kartki, aby z nich wydobyć treść aktualną dla mnie, stosowaną, ad hoc, na dzisiaj i na bliską przyszłość. Myśl ustawicznie krążyła dookoła nie. tyle samego Józefa Ślimaka, ile raczej dookoła jego wnuków czy prawnuków. Wykurzył ich pragna Niemcy, ale mimo wszystko, nie dadzą rady. Prawnuk Ślimaka rozumuje tak samo jak jego pradiadek, mówiąc: „Chorobę wykurzą, nie mnie!“... Albo nawet mówi tak jak odczuwał się stary Ślimak do parobków Hamera, zatem: „Całujcie mnie!“...

Przypadek zdarzył, że równocześnie z „Placówką“ otrzymałem plik raportów z kraju, głównie o położeniu wsi w t.zw. generalnem gubernatorstwie. O chłopie i jego wojennej doli w roku Pańskim 1940. Przez wieś polską przeszła fala dobrobytu, podobna tej, która musnęła Józefa Ślimaka w r. 1885, zresztą w okolicznościach zupełnie odmiennych. Ta fala z r. 1940 była chwilowa, bo chwilowa, ale przeszła i coś po sobie zostawiła. Był nawet moment krótki wprawdzie, ale znamienny wielce: kasy powiatowe nie chciały przyjmować wkładów, i przelewały się w nich od nadmiaru gotówki, podczas gdy równocześnie kasy miejskie skazane były na wegetację. Chłopi pospłacali długi, odkuli się chwilowo, zaczęli sobie sprzątać maszyny i narzędzia rolnicze, dostarczane tanio i z ulatwieniami przez Niemców.

Ostatecznie, każde pamiętniki wojenne, o ile za temat biorą przeżycia cywila, mogą ukazać się p.t. „Pamiętniki...paska“. Przez małe p. Konjunktura wojenna, ta sama prawie co podczas wielkiej wojny, sprawiła, że w miarę postępowej nędzy miast, pozornie, tylko pozornie, bogaciła się wieś polska, ta wieś, której produkcję nawet szpicle niemieccy nie są w stanie skontrolować. Znowuż zatem — i to w większej ilości niż podczas wojny światowej — zawędrowały na wieś meble, wyprzedawane przez przymierającą głodem inteligencję, znowuż daleko za rogatką pojechał niejednen fortepian, znowuż sporadycznie wzrosła konsumpcja kosmetyków wśród bab wiejskich, a nawet, nawet na chłopskim stole znalazły się gdzieniegdzie platerki.

Te „zbytki“ reguły napewno nie stanowią, przeciwnie, są wyjątkiem, ale wyjątkiem, rzucającym się i może nawet łokącym w oczy. Nie stanowią one kropki nad i, ale świadczą o przelotnym, konjunkturalnym dobrobycie, któremu przeczy całe mnóstwo innych faktów. Szczegół charakterystyczny, że cukier, ten cukier, którego dziecko chłopskie latami nie smakowało („Cukier krzepi...“), po dawnemu rzadkim jest gościem. Coprawda, za jaja mogła być w pewnych okresach minionego roku dostawać na kartki cukier po tańszych cenach, ale... Ale ten sam cukier sprzedawał chłop w mieście drożej, aby kupić coś innego, czyli znowu dzieci chłopskich nie krzepił cukier...Biedne Jaski i Marysie!

Przy tym cukrze przypomina się pomarańcza, dialog o pomarańczy u Prusa:

— Pewnie te sto razy lepsze od jabłek?... spytał Jędrak, a oczy mu się zaiskrzyły.
Chłop pogardliwie machnął ręką.
— Iiii...Skosztowałem ci ja jedno takie. Małe jak kartofel, zielone a paskudne—żeby pies wypuścił...
— I oni takie jedzą?
— Co nie mają jeść.
— A to oni są głupie — rzekł Jędrak.
— Tyś to głupi, bo się nie znasz — odparł chłop. — Tobie dobrze, kiedy ci przy krupniku jest słono? A panu dobrze, jak przy innym jedzeniu jest mu w gębie paskudnie...

Dajmy pokój cukrowi i pomarańczy! Mniejsza o i fortepiany, które zapewne gorszą sprawozdawcę-mieszczucha, jak biała „porcynela“ gorszyła sąsiadki pięknej Borynowej u Reymonta. Mniejsza o kosme-

tyki czy platerki, które tak jaskrawo odbijają od innych faktów powszednich, od branek i lapanek, od niewoli chłopana robotach, od masakr, od wandalskiego wysiedlania, np. z Żywiecczyny, od porwania dziewcząt do domów publicznych. Platerki świecą fałszywym blaskiem, zamiast kosmetyków i perfum po wsiach pachnie bieda albo i krwιά.

T. zw. konjunktura uległa rychło gwałtownemu pogorszeniu, okazała się złudą. Wprawdzie chłopka proszą, aby zechciał sprzedać np. litr mleka, biorąc pokątnie np. w Krynicę lub Zamościu 60 groszy, w Krakowie i zł, w Warszawie 1.80 zł., wprawdzie furmanka, za którą stary Ślimak w „Placówce“ brał śmieszna cenę, dzisiaj przynosi 50 zł dziennie plus śniadanie czy obiad, ale zarobek i tak jest złudny. Zresztą konie zarekwirowano, i spadek siły pociągowej przybiera zaskraszające formy. Ceny zboża są nieproporcjonalnie niskie, pozatem zacięśniają się z dnia na dzień tryby kontroli, wzmożony rekwiżycje, wrosły przymusowe kontyngenty, a w całym życiu gospodarzem tego diwologu, jakim jest gubernatorstwo, panuje dziki chaos. Jedna instancja wchodzi drugiej w parade, klóci się urząd z urzędem, kradnie każdy Niemiec, a wieś żyje po dawnemu, zatem w biedzie przedwojennej, czyli grubo gorzej niż za czasów s.p. Józefa Ślimaka.

Niemniej (Prus-pozytywista zmusza mnie do myślenia kategorjami pozytywnymi) pewne fakty, cytowane gęsto w raportach, nie dadzą się zaprzeczyć. Mam na myśli spłatę długów, deflacje weksli chłopskich, premje za hodowlę nasion oleistych, próby (zapewne ordynarnie propagandowe) komasacji czy melioracji, sprowadzanie z Niemiec bydła zarodowego (już je przeważnie zarżnięto), nawozy sztuczne (co-prawda tylko wapno i saletra), maszyny i narzędzia rolnicze. Myśl o tych, zresztą chwilowych albo i pozornych plusach, stosowanych bardzo sprytnie i w wiadomym celu, musi wywołać u nas lekki rumieniec zażenowania jeśli nawet nie wstyd.

Chłopa w literaturze polskiej nie reprezentuje Bartosz z „Kościuszki pod Racławicami“ a tem mniej bohater „Tuonia“. Typowymi przedstawicielami warstwy chłopskiej w powieści i na scenie są głównie Ślimak, Czepiec i Boryna. Z nich wszystkich Ślimak najmniej efektywny. Taki chłop nie z Matejki, „chłop średniego wzrostu“, choć „z szeroką pierśią i potężnymi ramionami“, podczas gdy Czepiec i Boryna powalają sięgają! Ślimak pokorny, przed byle kim zdejmujący czapkę, Czepiec zaś nie byle kogo skłonny huknąć w pysk. Ślimak ma w sobie pojęcie utajoną głęboko, schowaną na rozmowy prywatne, ściśle poufną z ziemią. Gdy uźmnie się i schleje, to już jak nieboskie stworzenie, ale na pogrzebie syna „odwrócił się i zasłonił twarz sukmaną, jak rzymski senator, nie chcąc, aby inni widzieli, że płacze“...

Naogół gestów senatorskich czy godnych

POLITICUS

TU I W STANACH

W artykule „Anglia patrzy na nas“, zamieszczonym w nr. 3 „Wiadomości Polskich“, poruszył Zbigniew Grabowski sprawę naszej propagandy w Anglii. Podkreślił, że w dużej mierze t. zw. propagandę robią dla nas Anglii i że tak jest najlepiej; zaznaczył, że rola nasza winna polegać przede wszystkim na umiejętnej i sprawnym podawaniu faktów i trafnym wyborze angielskich ludzi pióra. Tak zestawione inspiracje powinny dać dobry wynik.

Do tych szkieletowych uwag, pisanych rok temu, należy dorzucić dzisiaj parę wyjaśnień. Zasadnicza teza jest dalej słuszna: nasza propaganda w Anglii powinna być przede wszystkim reżyserją, a to bardzo dyskretną: Anglii zrobić ją najlepiej. Nie zapominajmy, że Anglia jest krajem, niechętnie nastawionym do samego pojęcia i miaręnie nastawionym do historycznej wywiessia na propagandę. Zresztą przed laty godło na swoim resorcie przy Wilhelmsplatzu, ale Anglia, — która dopiero po wojnie powołała do życia na dobre swój resort, — opatrzyła urząd w gmachu senatu uniwersytetu londyńskiego miaręm ministerwa informacji. Anglii patrzy mocno na palec wszystkim kułdziejom bez wyjątku, uważając że szkodzą są oni do przesydy (przekonani są dalej, że posiadają niemal wyłączny przywilej obiektywizmu). Wietrzą wszędzie bakały propagandy, a wierzą naprawdę tylko swoim obserwatorom. Podobnie i krytyka, która wychodzi z ust obokrajowców, nie boli właścicieli Anglika: może go drażnić, ale nie potrafi głęboko urazić. Porusza go dopiero krytyka rodowitego Anglika.

Ze względu na to właśnie cechy środowiska angielskiego, najcenniejszą rzeczą dla danego kraju było zdobyć sobie w Anglii człowieka pióra czy polityka, któryby orędowną danej sprawie. Wiedzą coś o tem Węgrzy, którzy przez długie lata korzystali z wstawienictwa Lorda Rothemera'a i jego wpływowej osoby, wiedzą o tem Czesi i Słowacy, którym prof. Seton Watson wyświadczył poważne usługi swoimi książkami. Anglia jest w tej mierze krajem gościnnym: iluż to Anglików zajęło się tem czy innem państwem nie dla korzyści materialnych, ale dla odznaczeń, nie dla uznania, ale poprostu dla dania folgi swojej pasji; w tym narodzie podróżników, są znawcy każdego niemal skrawka ziemi, są autorzy, co zdeplali wszelkie szlaki i opisali niejednen kąt świata.

Anglii piszą dzisiaj na łamach prasy o Polsce tak że lepiej sobie trudno wyobrazić — oczywiście, nie wszyscy, ale trzeba się zgodzić odrzą, że pewnych kół w Anglii do Polski nie przekonana się tak szybko, że nie

MEMORIES OF POLAND

Ukazał się zbiór najpiękniejszych melodji (teksty polski i angielski); wybór i układ Zygmunta Stojowskiego

cena 3/6

M. I. KOLIN (Publishers), LTD.,
36, GREAT RUSSELL ST., LONDON, W.C.1 i 28, KING EDWARD ST., PERTH

Piasta Ślimak nie demonstuje, będąc człowiekiem dyskretnym, cichym i bardzo, bardzo pozytywnym. Mało ma „z tych królów Piastów“, natomiast jest potęgą. Sieje inaczej, bardziej dyskretnie, niż Boryna, ten chłop obłrzy, wspaniały w bieli. Boryna sieje zresztą jak wszyscy chłopci, więc i jak Ślimak, ręką. Symbol u Reymonta bardzo piękny, bardzo literacki i trochę... przykry. Boryna, zamożny Boryna, dawno już powinien był mieć siewnik.

Józef Ślimak siewnika nie miał, jak pewnie siewnika nie miał ten dwór, zacyfany i upadający dwór, który dawał wsi zarobki. Lecz nie mówmy o dworze, ponieważ zaprowadziły to nas zbyt daleko. Więc Józef Ślimak nie miał siewnika, sprawił go sobie natomiast jego wnuk czy prawnuk razem z innymi maszynami i narzędziami rolniczymi, nabytymi za pośrednictwem Niemców w roku Pańskim 1940.

Prus pisał „Placówkę“ przed pół wiekiem zgórą. Bohater arcyciela prusowskiego aż do czasu powrotnego małżeństwa ma dziesięć morgów w jednym kawałku. Złożyło się na to siedem morgów jeszcze z czasów pańszczyźnianych, które „mój (Józefa Ślimaka) ojciec dostali z ukazu, na własność... Potem za las ja dostałem trzy morgi“. Razem jest dziesięć. Druga żona

W NIEDŁUGIM CZASIE UKAŻE SIĘ TOM

WIERZSE O WARSZAWIE

Stanisław Baliński — Antoni Bogusławski — Wiktor Gomulicki —
Świątoppek Karpiński — Marja Kołodziej — Kazimierz Laskowski —
Jan Lechoń — Teofil Lenartowicz — Adam Mickiewicz — C. K. Norwid —
Artur Opman (Or-Or) — Włodzimierz Perzyski — Antoni Słonimski —
Edward Słoiński — Juliusz Słowacki — Władysław Syrokoma — Julian
Tuwim — Kazimierz Wierzyński — Jerzy Żuławski

M. I. KOLIN (Publishers) Ltd., 36, Great Russell St., London, W.C.1

można pozyskać sobie wszystkich odrzą i że są centra (zwłaszcza tygodniki t. zw. misji radykalnej), gdzie nas zawsze będą szarpać i gdzie zawsze cień Rosji padać będzie na naszą sprawę w niekorzystny sposób. Ważne jest to, że mamy dzisiaj publicystów pierwszej rangi, jak H. W. Steed czy F. A. Voigt, którzy piszą o Polsce jasno i dobitnie, a co więcej — ujmują sprawę niemiecką stanowczo i bez sentymentalizmu. Poważny „Manchester Guardian“, który przed wojną nieraz miał nam wiele do zarzucenia, ogłasza dzisiaj rzeczy pełne zrozumienia dla spraw polskich. Niedawny artykuł J. B. Firtha, jednego z seniorów dziennikarstwa angielskiego, zamieszczony na łamach „Daily Telegraphu“, jest dowodem, że gdy znajdzie się wytrwały publicysta angielski, — jak Firth, człowiek poważnej wiedzy, oczytania i kultury, — potrafi materiał faktów polskich przetopić na doskonałą ocenę. Lepszej nie napisze chyba żaden polski publicysta.

Jest to pocieszające i korzystne, ale nie zwalnia oczywiście polskiej publicystyki od śledzenia pilnie wszystkich poruszeń na szachownicy angielskiej. Nie trzeba wpatrywać się tylko w nasze sprawy, nasze tematy. Należy analizować wszystko co krąży na rynku wydawniczym a co dotyczy przyszłości, planów wojennych. Tutaj musimy zachować bystrą czujność. Posiadamy placówkę zwaną „Polish Research Centre“, która powinna bacznie na wszystkie głosy dotyczące nowego ludu na wór angielski, reakcje ogółu angielskiego na rozmaite hasła i zawołania. Musimy stworzyć polską komórkę badania tych nastrojów, co w rodzaju polskiego „mass observation“ dla Anglii, tak modnego tutaj zajęcia, przyniesionego z warsztatów amerykańskich.

Do zadań takiej komórki powinno należeć m.in. obserwowanie przywódców grupy pozornie niezwiązanej ale wcale solidarnie, jaką tworzą emigranci niemieccy i austriaccy. Dla każdego, kto zna Anglię nie od dzisiaj, jasna jest rola, walec zaśniona, jaką ci pisarze i dziennikarze odegrali w Londynie. Przybywali oni ze zrozumiałą urzą do régime'u hitlerowskiego, przybyli do brzegów Anglii jako ludzie rozbici, skłonieni. Nie dziwnego, że starali się odegrać w Londynie: opowiadali — choć ratować własny autorytet — że opozycja antyhitlerowska jest poważna, że cała budowa niemiecka się chwieje. Oni to byli siewami zgnębionego optymizmu, lekceważenia Rzeszy, wyśmiewania wszystkich jako „ersatz“ i blagi. Oni to — w dużej mierze Żydzi niemieccy — przedsta-

wili mu piętnaście, ale syn z pierwszego małżeństwa, „hycel“, przemili i sprytny hycel, Jędrak, dostał po ojcu tylko dziesięć. Ożenił się ten sprytny Jędrak z jakąś tam Orzechowszcanką i dostał za nią, przypuściwszy, znowu dziesięć morgów. Czyli razem posiada dwadzieścia morgów, ale... już nie w jednym kawałku.

Idźmy dalej. Hycel Jędrak, który już jako smarkacz dobiera się do Niemki-bakalarzówny i leś Szwabowi spowodu nie rozbił, napewno ma dzieci ze czworo. Co najmniej! Każde z jego dzieci dostanie po pięć morgów. Jego wnuki a prawnuki Józefa Ślimaka z „Placówki“ mają załedwie po dwa morgi. I to, oczywiście, nie w jednym kawałku ale rozrzucone jak najdalej, po całej wsi. Konieczna pod lasem, żyto koło kościoła, ziemniaki za wsią, owies podle szkoły. O ile w tej wsi jest szkoła.

Wyobraźmy sobie tego prawnuka Józefa i Jagny Ślimaków. (Nie jest, żadnym socjologiem — widać to zresztą, widać... Tyle tylko, że rokrocznie od wielu lat spędzał na wsi wiosnę, lato i część jesieni). On ma na imię pewnie Józef. Nie jest jak stary Ślimak „średniego wzrostu“, lecz odrobinę mniejszy. Nie ma „piersi szerokiej i potężnych ramion“. Ta recepta na chłopka w powieści realistycznej nie jest już aktualna. Zresztą sam Prus

wiali Trzecia Rzeszę w świetle fałszywym, jako wydetą bańkę, jako rzecz nietrwałą. Nastroje te znane są doskonale każdemu, kto ocałował się chociażby trochę o Fleet Street londyńska, siedzibę pism Imperium, w dobie przedwojennej.

Dzisiaj ci sami pisarze i publicyści starają się lansować jakiś obraz „ukrytych Niemiec“, wydymają znaczenie t. zw. czarnego frontu Strassera, który wybielany jest ponad miarę i zasługę (wartość tego czarnego frontu okazała się znikoma w wypadkach poprzedzających zamach na Hitlera w piwnicy monachijskiej). Tworzy się naprędce mity, wola się zawczasu o zmiłowanie i litosć. Są to manewry bardzo niebezpieczne, i publicystyka polska musi śledzić je nieustannie.

Propaganda nasza powinna koniecznie postarać się żeby kontakt polskich publicystów i świata umysłowego z pisarzami i intelektualistami Anglii był żywszy. Wspominamy przed chwilą „Polish Research Centre“ powinien mniej się oszczędzać: ma wszelkie dane na to, żeby stać się punktem zbornym polskiej myśli politycznej, od której się nie przelewa. Ognisko Polskie, to również atut, któryby trzeba wyzyskać energicznie.

Na zebrańiach w „Polish Research Centre“ można dyskutować z Anglikami wiele pożytecznych spraw. Można by zorganizować odczyty czy referaty strony polskiej i angielskiej (w języku angielskim). Tego rodzaju wymiana myśli byłaby pożyteczna. Należy również zachęcić pisarzy polskich, żeby wkroczyli na rynek angielski. Nie jedno już zrobiono, ale da się zrobić o wiele więcej. Trzeba wiedzieć, że trafienie do wydawcy angielskiego z ciekawym i wartościowym rękopisem jest może łatwiejsze aniżeli trafienie do redakcji pisma czy dziennika. Prasa ma swoją taktykę, inną politykę, takie czy inne sympatie, nie wypuszcza nikogo bez polecenia, poluje głównie na „news“, na mniej lub więcej bezpretenzyjne „stories“. Ale wydawca nie jest związany poglądem politycznym, umie ocenić wartość książki. Dobra polska książka — zarówno rzecz literacka jak podręcznica, opisowa czy polityczna — ma duże szanse.

Kładę nacisk szczególnie na ten właśnie fakt, albowiem uważam że propaganda, to nie tylko robota dotyczywa, to nie tylko działanie na godziny czy dni, ale praca dalekiego dystansu. Trzeba nam zatem solidnie podbudować książek, poważnych publikacji, dobrze przemysłanych prac. Nie powinny one wysuwać na front zagadnienia polskiego: raczej, zgodnie z obyczajami środowiska angielskiego, powinno się tłumieć

gdzieindziej, w „Lalce“, mówi o tem, że chłop tegi, chłop thusty, jakich widywano w majątku starej przeczowej, należy do unikatów. Prawnuk Józefa, Józef, jest może silny, twardy, wytrzymały, ale nieduży.

O ile jego dziadek a syn Józefa, Jędrak, wyuczył się trochę czytać od bakalarzówny, o tyle wnuk, Józef, jest prawdopodobnie analfabeta. Jędrak uczył się na przekór Niemcom, którzy mówili: „Ojciec głupi, niech i syn będzie głupi!“... Ale Jędrak własnym sprytem korzystał z potajemnych lekcji, jego wnuk nie miał gdzie się uczyć w latach pomajowych, nad którymi zaciążyło błogosławieństwo reformy szkolnej. Mimo to ten analfabeta jest sprytny i ciekawość do wszystkiego odziedziczył po dziadku, Jędrku. Po tym Jędrku, który wmg umiał stać się pomocnikiem „ometry“ i aż matkę własną swą pojętnością zadziwił: „Patrzajno, Józku, jak wyrwa z tem sznurzykiem?... Tamej przeciw musieli się uczyć nie bez jedną zimę, i żaden go nie wyścignie. A on para, co ino za szybą u Żyda wdział lamentarz (to było jeszcze przed bakalarzówną), tak se skika między nimi jak zając“...

Ten wnuk Jędrka, tak samo jak dziadek, niczego się nie boi a do wszystkiego jest pierwszy. Ślimak, stary Ślimak z „Placówki“, bał się i dziedzica i pana z miasta i Niemca i Żyda, ale Jędrak już nie. Przeciwnie, Jędrak zdradzał już odruchny zgola „bolszewickie“ i pyskował wobec pana czy na pana, że o mało, kondeł, od ojca nie wziął za to pyskowanie po mordzie, zatem i wnuk Jędrka, Józef Ślimak, napewno nie ma pradiadziowskiej pokory. Wyzbył się jej na szczęście. I w tem widać postęp nielada.

Albo prawnuk mieszka po dawnemu w chalupie, odbudowanej przez pradiadka po pożarze. Czwarte pokolenie już siedzi w tym domu. Czy jest podłoga w izbie? Może, ale nie ręczę. Śpią wszyscy, jak po padnie, część w łóżku, część na piecu, część sposobem, przyjętym przez Jędrka, na lawie. Chalupa już stara, dach przecieka docna, zato na płocie widać jeszcze ślady wapna. Jest to plot pobielany z r. 1938 i 1939. Drogi we wsi nijakiej niema po dawnemu. Białka nieuregulowana. Ta sama niewinna Białka, w której nurtach znalazł śmierć Stasiek, to „dziecko odmienné“, Stasiek, którego „trapi“ coś dziwnego, wrażliwy na muzykę Stasiek, jakby brat przyrodni sienkiewiczowski Janka-muzykanta.

Część rodziny Ślimaków wyemigrowała jeszcze w czasach, gdy było to możliwe, on zaś sam siedzi z kupą dzieci, które są pomarańczą na oczy nie widziały, na dwóch morgach, trzymając się tego absurdalnie małego kawałka ziemi. On nie dziedzi, który dawno sprzedał majątek, choć oni tu siedzą z dziada pradiadka, tu wyrosli, a ojcowie ich zajmują połowę tutejszego cmentarza. Kamień gryzbis je, nie tylko człowiek, żeby go z tak dawnego miejsca

nadmiar naszego temperamentu, chęć występowania zbyttno na przed sceny. Najwięcej szans, jak mi się zdaje, będą miały książki i opracowania polskie, które postawią Polskę na tle Europy, powiążą ją z wydarzeniami na kontynencie, przedstawia naszą rolę w zespole państw jutra.

Taki wkład będzie podwójnie cenny: ukaże Anglikom, że jesteśmy zdolni do myślenia w szerszym wymiarze, że mamy coś do powiedzenia na temat Europy przyszłości. Polski wkład może być wartościowy, a napewno jest potrzebny.

Zaznaczyłem tu tylko punkty dyspozycji, jeżeli chodzi o rynek angielski. Osobno należałoby omówić teren obłrymnej wagi dla wszystkich państw sprzymierzonych: teren amerykański. Napewno robi się tam z naszej strony niedojno, ale nie wiem, czy jest w tem jakaś myśl przewodnia, plan, strategia. Wielki czas, ażeby o tem pomyśleć, ażeby stworzyć polski zespół, któryby działał i pisał w Stanach.

Trudności są obłrymne, ale to nie powód aby opuszczać rękę. Trzeba sobie uprzytomnić fakt, że Polska od niedawna dopiero ma lepszą prasę w Stanach i że dalej jeszcze nie docenia się naszej roli i znaczenia. Nasi czeszy pobratymcy krzają się i lepiej i mocniej; nie mówię tego przez zazdrość, przeciwnie, uważam, że ich zyski, to jakby nasze zyski, ale i my nie możemy być zanadto wyle.

Stany stoją w przededniu wielkich decyzji, a gdy zapadnie tam klanka, runie jak lawina, ście po amerykańsku, „boom“ propagandy. Wtedy trzeba być na miejscu, trzeba mieć mocno w ręce kolo sterowe, trzeba wiedzieć, gdzie uderzać i jak. Ameryka w tej wojnie będzie nadawała w wielkiej mierze ton, ona rozstrząsa hasła i „slogany“ swoim zwyciężajem do niebyszałych rozmiarów. Głosy ze Stanów pójdą odbite na cały świat. Echo tych głosów będzie ważne dla Anglii: propaganda, rozumna, uczciwa, energiczna w Stanach, to w obecnych warunkach powiązania dwóch organizmów anglosaskich, robota na dwa fronty — dla Stanów i dla Anglii.

Mając na względzie te rzeczy i czynniki, należy planować, zwolować ludzi i talenty, pociągać wszystko co tworzące, młode, a zatem co jest dobrą inwestycją na przyszłość. Propaganda jest wielkim, twórczym zadaniem, jeżeli jest wzpnięciem tych właśnie sił młodych, wydajnych, śmiałych, jeżeli jest rzutowaniem nie tylko na dzień dzisiejszy ale i w jutro.

POLITICUS.

ruszyli“... Nie, on się nie ruszy! On właśnie jest jak kamień! „Chłop jest przecie osiedzony, jak ten kamień przy drodze. Ja tu każdy kąt wiem napamięć, wszędy pociemkubym trafił, każdemu grude ziemi własną ręką obrócił... A coby powiedział, gdyby mi drogę zastąpił ojowie, rzekąc: „Lo Boga, Józku, kaj my cię bedziemy szukali, jak nam w czyściu bardzo dopieczę, i czy twój pacirz trafi do naszych grobów, kiedy się wyprowadzasz gdzieś na koniec świata?“...

On się nie wyprowadzi. Nawet teraz, gdy do wsi zjechali Niemcy. Dużo, dużo ich! „Jak wszów!“... A „Szwab, to paskudna rzecz!“... Zjechali kupą wielką, z betami, z dziećmi, uciekając przed bombardowaniem. I nad Białką, nad biedną Białką, śpiewają to samo, co śpiewali, gdy mały Stasiek tonał, więc:

Lieb Vaterland, magst ruhig sein.
Fest steht und treu die Wacht, die Wacht
am Rhein!...

Nad Białką!... Patrzy na nich Józef Ślimak, prawnuk Józefa, i mówi to samo, co mówił stary Grzyb w „Placówce“: „Przyjechali na wozach, a będą uciekać piechotą!“... I mówi to samo, co mówił stary Ślimak: „Chorobę wykurzą, nie mnie!“... Zdumiony ich mnóstwem, pyta prawnuk Józefa, znowu tak samo jak Ślimakowa w „Placówce“: „Bez obrazy, ale-wy, Niemce, musi że nie mata własnego kraju, kiej przychodzicie tu do nas!“... oni zaś, znowu tak samo jak u Prusa, zdobywszy się na szczerość, mówią: „My, Niemcy, mamy swój kraj, nawet większy od waszego, ale tam źle... no więc przychodzimy dowa“. Czasem nawet w rozmowie siedzącej zapewniają Ślimaka o najlepszych swych zamiarach, prawiąc: „Alboż my nie chrześcijanie, jak i ty?“...

Albo on im nie wierzy. Nie ufa słowom ich, jak nie ufa dobrodziejstwu taniego siewnika i innych maszyn czy narzędzi. Tym razem nieufność, ta sama nieufność, która zgubiła starego Ślimaka, wychodzi na zaletę. Nie wierzy Niemcom. Przeciwstawia im swą skorupę, twardą skorupę, w której zamyka siebie całego, wszystkie swe wady i wszystkie zalety. Chytróść, skłonność do okrucieństwa, lenistwo, nieufność tępa, zacołanie, wrodzone i wiele, wiele jeszcze innych przywar, grzechów, wad. Ale w tej skorupie zamyka także swe zalety. Jest ich więcej niż przywar. Grubo wieje.

Znajdzie się między nimi także upór, wola twarda w potrzebie i przywiązanie bezgraniczne do ziemi, jej miłość głęboka, śmiejsza ponad wszystko. On nie ruszy się z miejsca. Wolałby sobie uciąć rękę czy poderznąć gardło: „A cóżbym ja, chłop, robił bez ziemi?“ W uszach i w sercu brzmia mu słowa prababki, Jagny, która wola: „Niedoczekanie twoje i tych Szwabów! Żebym miała trupem paść, żeby mnie do grobu schowali, jeszcze wykopie się spod ziemi“... On, prawnuk starego Ślimaka, nie pójdzie nigdzie, „choćby miał zdechnać na barłogu“. On wie, że nie przelknąłby Najświętszego Sakramentu, bo uwieźnie mu w gardło... On wie, że ta prababka po śmierci nie dałaby mu spokoju! Choćby zasnął, wstałaby z grobu i oczy mu odmykała...

Dlatego wytrzyma nawet tych Niemców z 1941 r. On jest twardy. Ma skorupę jak pancerz. Patrzy na Szwabów spokojnie, ale zawzięcie, i mówi: „Całujcie mnie!“...

Ślimak czeka cierpliwie. A cierpliwość jest jedną z jego największych zalet. Ślimak czeka na wiadomości ze świata, na te wiadomości, które sprawią, że i on sam, i Grzyb, i Orzechowski i inisi dobiórą się do Hamera, do Hermanów, do Fryców. O, będą szwabcy uciekali piechotą! O ile zdąży! Wątpię... Już Gallus Anonim pisze o zaciecioku chłoptwa wobec uciekających Niemców.

A Ślimak wróci do domu, nacylił się nad dzieckiem i usiadzie przy niem, dziecko zaś obejmie go rękami za szyję, mówiąc jak w „Placówce“:

— Dobrze, żeście usiedli, bo wciąż po mnie chodzą te Niemce!
— Spój, dziecko, tu niema nikajkich Niemców!

I... Właśnie! Brakuje ciągu dalszego. Jakż on będzie, jakiego drogami pójdzie to wszystko z chwilą, gdy opadną wody potopu? Co dalej?

Gdy Konrad — „Placówki“ robię skok w „Wyzwolenie“ Wypiańskiego) — otóż gdy Konrad — mścił staję na pustej scenie, z początku nie widzi nic w mroku grubym. Lecz zbliżają się do niego jakieś cienie ludzkie, zdejmują mu łańcuchy z rąk i nóg. Oswobodzony Konrad pyta ich:

— Kto wy jesteście?

— Chłopy! — odpowiadają.

Taka jest ich odpowiedź i legitymacja zarazem. Zrobiwszy swoje, „chłopy“ rzucą pytanie, co mają czynić. Oni, przyjacielu do pracy i posłuchu, już są gotowi do roboty, już każdy z nich czeka na rozkaz, już zakasuje rękawy, gdy zaś padła odpowiedź, że mają czynić to, co zawsze czynili, i że „zwykła“ dostana zapłatę, „chłopy“ przyjmują to do wiadomości, powtarzając:

— I zwykłą dostaniemy zapłatę.

Mniemam, że tym razem nie powinni „zwykłej“ dostać zapłaty, ponieważ, choćby ją nawet przyjęli bez szemrania, przecie zasłużyli sobie na zapłatę niezwykłą. Na zapłatę — po raz pierwszy — uczciwą, zwłaszcza że nie dla zapłaty pracować i uwalniać będą.

Rzecz w tem, aby otrzymali zapłatę godną ich i równocześnie godną Rzeczypospolitej.

Rzecz w tem, aby ich nie oszukano po raz któryś zrzędu!

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

*) Bolesław Prus (Aleksander Głowacki). Placówka. Londyn, M. I. Kolin, (1941): str. 279 i 5nł.

STANISŁAW MACKIEWICZ

IDEA SŁOWIAŃSKA

Idea słowiańska, głoszona przez poetów, pisarzy, filozofów, stanowi ideę polityczną, polegającą na dążeniu do politycznego zjednoczeniu Słowian.

Historia uczy nas, że pokrewne narody czy kraje jednoczą się dokoła najsilniejszego z nich.

W ten sposób dokonały się zjednoczenia polityczne, które tkwią u podstaw państw francuskiego i wielkobrytyjskiego, a w czasach nowszych — zjednoczenie Niemiec i zjednoczenie Włoch. Niemcy zjednoczyły się dokoła najsilniejszego kraju w Niemczech, t. j. Prus. Włochy — dokoła najsilniejszej swojej organizacji narodowej, t. j. królestwa Sardynii.

Zjednoczenie polityczne Słowian — gdyby było realne — musiałoby również nastąpić taką samą drogą, Słowianie zjednoczyliby się dokoła najsilniejszego państwa słowiańskiego.

WŁADYSŁAW IV

W w. XVII najsilniejszym państwem słowiańskim była Polska, Władysław IV, niedoszły car moskiewski, zwycięzał kilkakrotnie wojska rosyjskie, panował nad Polską, Litwą, Rusią i Kozacyzną i porywał się do wojny z Turcją. W tem co Szajnocha pięknie nazywa „zamyślem królewskim”, możemy dopatrzyć się planu oswojowania Słowian bałkańskich, mamy prawo powiedzieć, iż Władysław IV zamyślał uczynić to czego później dokonał Aleksander II, cesarz rosyjski, w r. 1878, t. zn. dążył do oswojowania Serbów i Bułgarów z niewoli tureckiej. W r. 1646 wprowadził przecież na pokój królewskie weńskie posel Tjepolo dwóch zakonników bułgarskich, którzy wzywali Władysława IV, by się koronował na króla greckiego. W planach wojny, do której nie dopuścili senatorowie i sejm, układał sobie Władysław, iż zwycięży Turków na czele koalicji, mającej się składać nie tylko z Polski, Litwy i Kozaków, ale także z Moldawii, Wołoszczyzny, Siedmiogrodu i nawet Moskwy. Był to więc „zamyśl” o wiele wspanialszy, aniżeli gnębienie Turcji przez Rosjan w XIX w. Przecież w r. 1878 Turcja była już państwem słabym i drugorzędnym, podczas gdy za Władysława stanowiła jeszcze olbrzymie gigantyczne imperjum, a nawet można powiedzieć, że morze Śródziemne za Władysława w w. XVII było oceanem, za Aleksandra II — już tylko jeziorem, do tego stopnia zmieniły się warunki polityczne.

W swoich zamysłach wojny z Turcją nie marzył jednak Władysław nigdy o oswojowaniu Słowian, a zawsze o oswojowanie chrześcijan.

Powiada Zolkiewski w r. 1620: „...jeśli z nieprzyjacielem w ziemi jego czynić i najechać go będziemy, nie wątpić o zwycięstwie. A co wiedzieć, nie tenci to sposób, przez który Bóg ten brzydkich, plugawych naród pogański pokarać, a narody chrześcijańskie z niewoli ich wybawić raczy”. W każdym razie te projekty „oswojodzielnicze” są uderzająco podobne do „oswojodzielniczej” polityki rosyjskiej w w. XIX, tylko że jak powiedziałem, skala polskich planów z w. XVII była o wiele większa i wspanialsza.

Ale niedługo po śmierci Władysława IV zaczyna się okres upadku Polski, i Piotr Wielki widyera nam pierwszeństwo w świecie słowiańskim. Piotr Wielki, którego niektórzy uważają za najbardziej genialnego Słowianina, a inni za Antychrysta, wznosząc kubek na uczcie w Rydze w r. 1714, powiada, że światło przeszło od Greków do Rzymian, gdy „Polacy pograżeni byli w mroku, jak zresztą i wszyscy inni Niemcy”, teraz — powiada — „tylko my w mroku pozostaliśmy, ale kiedyś światło do nas przejdzie, a oni do mroku powrócą. Ja to porównywan — powiada — do krącenia krwi w żyłach ludzkich”.

PIERWSI SŁOWIANOFILE

Pierwszymi słowianofilami byli Rosjanie Chomiakow (1804—1860) i jego współcześni, bracia Kiriejewscy i Konstantin oraz Iwan Askakowowie. Chomiakow, rodzaj Leonarda da Vinci w pomniejszonym formacie, historyk, filozof, poeta, autor dramatyczny a prócz tego oficer huzarów, jest protoplastą szkoły myślowej, która pulsowała w Rosji przez cały w. XIX, a i dzisiejsi rosyjscy „euroazjaci” na emigracji ideowo pochodzą od tych słowianofilów. Należy podkreślić dwie cechy tej szkoły: po pierwsze, jej naiwną idealizację i poetyzację historii Słowian, wszystko u Słowian było dobre, szlachetne, wszystko w historii Rosji było piękne, a jeśli było co złego, pojawiło się albo z Normanem Rurykiem albo z Piotrem Wielkim. Stosunek do Piotra Wielkiego w najwspanialszych dyskusjach rówieśników Puszkina był co najmniej tak gorący, jak gorący jest stosunek do Józefa Piłsudskiego w sporach naszej obecnej emigracji. Jedni ubóstwiali Piotra Wielkiego, inni go ubóstwiali i krytykowali jednocześnie, jeszcze inni potępiali lub nienawidzili. Cień tego geniusza unosił się nad ideologią rosyjską w sto lat po jego śmierci, jak zresztą unosił się podziśnien, gdy pięknoduchy rosyjskie płacą za państwowe utrzymanie porównywaniem Stalina do Piotra Wielkiego. Katarzyna II uwielbiała Piotra Wielkiego, nazywała go swoim nauczycielem, ale wśród jej następców brały gorę sympatie słowianofilskie i w miarę tego sympatie cesarzy do tej postaci są coraz mniejsze. Uwielbia go jeszcze Mikołaj I, natomiast Mikołaj II ma do niego wyraźną antypatię: „wasz Piotr Wielki” — mówił z niechęcią o swoim wielkim przodku.

Drugą cechą rosyjskiej szkoły słowianofilskiej była antypatia, niechęć, a czasem nawet nienawiść do Polski. Ojczyzna nasza, to — w przekonaniu słowianofilów rosyjskich — wielka zdradczyni słowianstwa, a to ze względu na katolicyzm i

kulturę łacińską. Rosjanie mieli do nas pretensje o to, czym słusznie najbardziej się szczyimy i co istotnie jest największym naszym bogactwem: ów świat pojęć łacińskich, który tak głęboko wrosł w Polskę. Toteż najlepsi i najzdolniejsi ze słowianofilów mówią zawsze coś przykrego o Polsce. Chomiakow napisał stosunkowo przyzwolita ode tryumfalną spowodu klęski polskiego powstania r. 1863, w której widzi „orły słowiańskie — zuchwałymi, szerokiemi skrzydły — wlatujące — lecz chylące głowy silne — przed zwierzchnim orlem Północy”. Znane są poezje Puszkina pisane spowodu upadku Warszawy w powstaniu listopadowym, w których genialny poeta przeciwstawia potęgę cara rosyjskiego całej krzykliwej Europie, ujmującej się za Polakami, i wola: „Zostawcie nas w spokoju, to spór Słowian między sobą — już przesądzony przez los”...

Słowiańskie ruczaj soljutsia w russkom morie,
Ono-l izsiakniet?

A mój najukochańszy Tiutczew, poeta, który czarem swego języka przemawia do mnie najżywiej, pisał przepiękną onomatopę:

Nad russkoj Wilnoj starodawnoj
rodynie tieplatsia kriesty
i zwonom miedi prawoslawnoj...

Ta niechęć, uszlachetniona romantyzmem pierwszych dziesiątków lat XIX w., będzie później wzrastała i nabierze coraz żywszych kolorów. Dla Dostojewskiego, którego geniusz nie umiał się pomieścić w ramach jednej szkoły, lecz który oczywiście bardzo bliski był słowianofilstwa, Polak będzie zawsze plugawym „polaczyską”, wierutnym blagierem, lotrem i łobuzem; dla Katkowa, publicysty rosyjskiego, będącego duchowym wychowawcą oficjalnej Rosji Aleksandra III i Mikołaja II, wogóle wszelkie zło na świecie pochodzi od Polaków i ich „jezuickiego sposobu myślenia”.

MICKIEWICZ

Za czasów Chomiakowa wśród Polaków są także zwolennicy idei słowiańskiej. Przedewszystkiem Mickiewicz w swoich wykładach paryskich. Ale — powtórzę tu tylko zdanie znakomitego i głębokiego znawcy i romantyzmu i różnych szkół ideologii słowiańskiej, Marjana Zdziechowskiego — ideologia Mickiewicza ma charakter jeszcze bardziej naiwny niż początkowe majaczenia słowianofilów rosyjskich. Jego idealizacja naszej polskiej przeszłości, jakkolwiek piękna ze względu na przeogromny sentyment i wielki talent poetycki, jest zbyt przesadna i uczuciowo-prymitywna, aby mogła się ostać. Mickiewicz łączył zresztą swoją ideę słowiańską z kultem Napoleona I: jego 44, to prawdopodobnie XLN — książę Ludwik Napoleon, czyli Napoleon III; zestawienie liter X, L i N da 44 napisane cyframi rzymskimi, o ile oczywiście „N” uznamy za IV. Mickiewicz tworzył więc Napoleona, mającego oswojzić uciemiężone ludy, zrealizować zasadę narodowościową, wreszcie oswojzić ludy słowiańskie spod jarzma nie tylko Habsburgów czy Osmanów, ale i Mikołajów. Współcześni Mickiewiczowi Polacy, akceptujący ideę słowiańską, szli jeszcze dalej w antyrosyjskości i twierdzili, że Moskale wcale nie są Słowianami, ale tylko plemieniem fińsko-mongolskim. Oczywiście, że udział krwi i fińskiej i mongolskiej w ludzie wielkorozyjskim jest duży, lecz nie można jednak z tej konstatacji wysnuwać zbyt daleko idących wniosków.

SZKODLIWY WPŁYW POEZJI

Jako uczeń pierwszej klasy gimnazjum widziałem w Wilnie „Lille Wenede” Słowackiego w inscenizacji Ferdynanda Ruszczyka. Pamiętam urok tego widowiska. Ale nie znaczy to, bym ujrzał na scenie odtworzenie autentycznego świata słowiańskiego z czasów przedhistorycznych, widziałem tylko wspaniałe widowisko z czasów romantyzmu, oprawione talentem malarza czasów secesyjnych... Oto i wszystko. Ale czar poezji jest tak duży, że działa nawet na polityków, prawodawców, ustawodawców, co jak muzyka Straussa w gabinecie notariusza, wywołując błędy w aktach rejestralnych. Jeśli się mówi o „wstydliwych zakątkach historii”, to są także poetyckie zakątki historii, a ten, który chce zacytować, można nazwać poetyczno-bolesnym zakątkiem historii.

Oto dn. 19 lutego 1861 r. ogłoszono w Rosji manifest cesarski, który dawał chłopom rosyjskim wolność osobistą, zniósł pańszczyznę i nadawał im ziemię. Ale komisja cesarska, która przez kilka lat opracowywała te reformy, znajdowała się pod wpływem słowianofilów, o chaotyczno-anachronistycznym sposobie myślenia, byli oni przekonani, że pewne współczesne teorie i hasła Europejskiej zachodniej, nie są to hasła wymyślone w XIX w., lecz — cnoty w które obfitowali Słowianie, zanim ich Ruryk i inne normańskie bandy nie zepsuły. To tylko Europejczycy zginego Zachodu — powiadali słowianofile — są skąpi, zazdrośni, chciwi, Słowian cechowała zawsze niechęć do wielkiej własności, komuną, wspólnotą. Wśród doradców cesarskich zasiadał Samarin, gdyż rusz słowianofilski, za Mikołaja I prześladowany, coraz bardziej zbliżał się tronu, a ostatnich dwóch cesarzy, mówiąc nawiasem, należy uważać za słowianofilów w stu procentach. Otóż dzięki wpływom Samarina, a zresztą i nastrojom innych działaczy tej komisji, utrzymano dla chłopów rosyjskich wspólnotę rolną, „mir”, „obszczyne”. Ta „obszczyzna” pochodziła

z początku XVI w., była wprowadzona z poziomych względów fiskalnych, nie z żadną słowiańskością czy prasłowiańskością wspólnego nie miała, ale poetycznie nastrojonym prawodawcom podobalo się w niej dojrzeć objaw odrębności słowiańskiej. No i uraczyli swego chłopą tą „obszczyzną”, instytucją fatalną, która w sposób klęskowy zaciążyła na gospodarzem włościaństwu rosyjskiego. Z tej „obszczyzny” próbował oswojzić chłopą rosyjskiego dopiero Stolypin.

CZESI

Głównymi wytwórcami hasel słowiańskich byli w XIX w. mieszkańcy miasta Moskwy. Odbiorcami tych hasel byli Serbowie i Bułgarzy, którzy zawdzięczają im niepodległość. W Sofji całkiem słusznie stoi pomnik Aleksandra II jako oswojodzielcy narodu bułgarskiego, choć my Polacy pamiętamy, że to właśnie ten sam cesarz, który nam powiedział: „Point de rêveries, messieurs, point de rêveries”, na które to słowa odpowiedziliśmy wybuchem powstania 63-go roku.

Czesi znajdowali się w roli pośredniego wytwórczo-odbiorczej, albo raczej jeszcze wytwórczo-oczekującej. Czesi byli w zupełnie innej sytuacji, niż Polacy, Czesi nie mieli ani kresów spornych z Rosją, ani nawet wspólnej z nią granicy. Jakby murem czy zasłoną oddzielił ich od Rosjan Polacy. Czesi nie mieli trzech zaborów, jak my, a tylko jednego zaborcę. Toteż dość wcześnie zaczęli tam myśleć o rozbić państwa austriackiego zapomocą Rosji, i hasła słowiańskie Czechów są całkowicie filorosyjskie. Jeszcze w r. 1915 marzy Kramarz o osadzeniu rosyjskiego wielkiego księcia lub nawet cesarza rosyjskiego na tronie czeskim. Co dla nas było powodem do rewolucji i powstań, dla nich było powodem do westchnień i nadziei. Zresztą Masaryk i Benesz nie dzielili wielu złudzeń Kramarza.

BOLSZEWICY

Polityka narodowościowa Stalina wywołuje wiele nieporozumień wśród osób, które nie znają wewnętrznego życia w Sowietach. Niektórzy powiadają: „a widzicie”, gdy usłyszą, że Stalin proteguje wszelkie szkoły narodowościowe, że przeszło sto języków posiada w Sowietach szkoły i uprawnia. Te koncesje językowe nie są żadną koncesją na rzecz jakiegokolwiek patriotyzmu czy nacjonalizmu, wprost przeciwnie. Toleruje się Puszkina, ale tłumaczy się, że Puszkina, to pisarz niemal proletariacki, toleruje się Szewczenkę czy Mickiewicza, ale interpretuje się go odpowiednio. Zajądlność i zawiesz ideologii komunistycznej przeszła już wszelkie granice i graniczy z humoreską z jednej strony, a z makabrycznością z drugiej. Przecież nawet obrazy mistrzów renesansowych, zawieszone w muzeach Petersburga i Moskwy, są komentowane w ten sposób, że stają się one tylko dodatkiem do nauki o walce klas.

Hasła słowiańskie, póki bolszewizm bolszewizmem, nie będą tolerowane w Sowietach; słowianofilstwo jest szkołą ideową ze wszystkich szkół najbardziej zła, zła przez dawnych pisarzy obozu socjalistycznego, szkołą zienawidzoną i pogardzaną przez bolszewizm. A jednak oto w sierpniu 1940 r. Molotow w jednej z not dyplomatycznych napisał, iż Sowiety nie zapominają, że stanowią największe państwo słowiańskie.

Co to znaczy?

Ano, gdy Katarzyna II upominała się o dysydentów w Rzeczypospolitej, nie robiła tego z nadmiaru uczuć prawosławnych, lecz ze względów politycznych. Europa ma tak te pojęcie o tem co się w Sowietach dzieje, Europa tak wciąż ma różne wobec Sowietów złudzenia, opinia europejska gotowa jest dać się wyprowadzić w pole bile argumentem. Należy tu jednak stwierdzić, że bolszewizm nie ma, nie chce mieć i nie będzie miał nic wspólnego z jakimkolwiek ideałem słowiańskim, że użycie tego hasła przez Molotowa ma charakter wyłącznie manewru dyplomatycznego.

WNIOSKI

Wszystko co napisałem uprzednio, stanowi tylko przygotowanie wniosków, które chcę sformułować w sprawie: współczesna Polska a idea słowiańska.

Gen. Lucjan Żeligowski, bohater Jazłowa i Radzyna i oswojodzielcy Wilna, przekonał mnie już w r. 1938 do swojej idei słowiańskiej. Uważałem wtedy, że Polska jest największym państwem słowiańskim, właśnie dlatego że Rosja jest państwem bolszewickim, a więc bezwzględnie wrogiem temu hasłu. Polska więc — jak powiedział gen. Żeligowski — powinna była podnieść sztandar idei słowiańskiej, z tem że oczywiście miałby on przedewszystkiem antybolszewicki charakter.

Obecnie jednak jesteśmy w innym położeniu, i dlatego nasz dzisiejszy stosunek do idei słowiańskiej powinien być jednocześnie pozytywny i ostrożny.

Pozytywny — gdyż ideał solidarności słowiańskiej powinien nam ułatwić porozumienie z ludami, które znalazły się w tem samym co my położeniu, jak Czesi lub Jugosłowianie.

Ostrożny — gdyż musimy się liczyć z temi złudzeniami, które mimo wszystko panują w Anglii i w Ameryce w sprawie polityki sowieckiej, i dlatego musimy się bronić aby hasłem solidarności słowiańskiej nie pokrywano jakichś żądań skierowanych do nas a dyktowanych interesami zaborczego imperjalizmu sowieckiego.

STANISŁAW MACKIEWICZ.

Już się ukazała

PLACÓWKA

Bolesława Prusa

cena 4/6

do nabycia:

M. I. KOLIN (Publishers), LTD.,

36, GREAT RUSSELL STREET, LONDON, W.C.1 i 28, KING EDWARD STREET, PERTH

FLORJAN SOKOŁÓW

ANTHONY EDEN



fol. Keystone

ANTHONY EDEN

i Harry Hopkins, wysłannik Prezydenta Roosevelta

Eden wrócił na swe dawne stanowisko kierownika polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii. Wrócił, jak bumerang, rzucony w przestrzeń przez ludzi, którzy pragnęli się go pozbryć w błędnym mniemaniu, że jest balastem i zawadą na drodze do utrzymania pokoju, który sędził, że składając jeszcze jedną ofiarę na ołtarzu dobrych stosunków z Il Duce i Führerem, zagępną nadciągającą burzę.

Gdy przed trzema laty opuścił „Foreign Office”, radość zapanowała w Rzymie i Berlinie. Nic dziwnego. Eden był szermierzem Ligi Narodów, leaderem kampanii sankcyjnej przeciw Włochom, szczerym i pełnym zapału rzecznikiem demokracji. Żył nieprzewidywalny wstręt do dyktatorów i dyktatur i dawał temu niejednokrotnie wyraz w swych wystąpieniach publicznych. Coprawda, nigdy nie należał do doktrynerów i sam wierzył niegdyś w możliwość zgośnego współzycia państw o zasadniczo sprzecznych systemach, w dobrodziejstwa nieinterwencji, w lokalizację wojen, ale gotów był iść na ustępstwa jedynie za cenę prawdziwego, trwałego pokoju. W tym duchu prowadził politykę Anglii w czasie swego poprzedniego dwuletniego urzędowania (1936 — 1937).

Pamiętny jest ten okres chmurny, ale nie góry, pelen rozczarowań i kryzysów, które rok później osiągnęły punkt kulminacyjny w kapitulacji monarchijskiej. Popelnione wówczas błędy srodze się zemściły. Nie wszyscy zdawali sobie z nich sprawę. Dziś z perspektywy kilku lat widzimy je dokładnie, a trzeba przyznać, że Eden za błędy te najmniejszą ponosi odpowiedzialność. Odszedł z honorem, bo nie chciał dłużej kryć ich swą osobą. Odszedł, manifestując swój protest przeciw coraz to nowym koncesjom Chamberlaina dla Włoch. Razem z nim ustąpił jego wierny towarzysz, lord Cranbourne, wówczas podsekretarz stanu do spraw zagranicznych, obecnie minister dominjonów.

Chamberlain ludzi si, że odciągnę Włochy od Niemiec i że złamie „os”. Mussolini chętnie przyjmował dary, zawiarał pakt z Anglią, składał uroczyste przyrzeczenia poto, by przy pierwszej sposobności zdradzać swego angielskiego kontrahenta. Stary Chamberlain był naiwnym dzieckiem w tej rozgrywce z szantażującym go Mussolinim. Sądził że cierpliwością i ustępstwami doprowadzi do wskrzeszenia przyjaźni angielsko-włoskiej. Porozumiewał się z Il Duce przez własnych emisariuszów, poza plecami Edena. Wiemy, jak opłakany był rezultat tego flirtu bez wzajemności.

Młody, ambitny Eden, który za rządów Baldwiną przyzywał się do nieskrepowanej działalności jako szef „Foreign Office”-u, nie mógł długo znosić ingerencji nowego premiera, tem bardziej że uważał ją za fatalną w skutkach. I nie omylił się. Rozwój dalszych wypadków był tragicznym dowodem, że miał rację.

W konflikcie Chamberlaina z Edenem nie chodziło tylko o taką czy inną taktkę wobec Włoch. Miał on podłoże głębsze.

Od pierwszej chwili we współpracy ich zaczęły się poważne dysonanse. Eden zaangażował cały swój autorytet na terenie międzynarodowym w popieraniu koncepcji, do których Chamberlain odnosił się z mniejszym lub większym sceptycyzmem. Obaj pragnęli uniknąć wojny, ale w dążeniu tem Chamberlain gotów był posunąć się do granic, które Eden uważał nie za realizm polityczny, lecz za niebezpieczne złudzenia, prowadzące do katastrofy. Zresztą Eden nie był odosobniony w swych poglądach. Podzielał je szereg innych członków rządu spośród młodo konserwatyistów. Z wielkim trudem udało się wówczas zażegnać kryzys gabinetowy.

Metody łagodnej perswazji, wiara w dobrą wolę Hitlera i Mussoliniego, teza głosząca, że nie należy tworzyć zwalczających się wzajemnie bloków państw w Europie i „okrażać” Niemcy, że trzeba zamknąć oczy na momenty ideologiczne, by nie dopuścić do rozpętania nowych „wojen religijnych” — jakie to wszystko było niemądre, krótkowzroczne, lekkomyślne, oparte na zupełnej nieznajomości psychiki gangsterów politycznych Trzeciej Rzeszy i Włoch faszystowskich. Zamiast defensywy wobec zbliżającego się niebezpieczeństwa, należało stosować ofensywę, zamiast nieinterwencji — interwencję, zamiast nieszczerzonych wizyt, deklaracji, zabiegów i rozgrywek dyplomatycznych — politykę jasną i zdecydowaną, nie pozostawiającą żadnej wątpliwości, że mocarstwa zachodnie gotowe są przyjąć wyzwanie do walki: przedewszystkiem zaś należało największy nacisk położyć na zbrojenia.

Na tle tego kompleksu błędów stanowisko Edena wyróżniało się bardzo korzystnie. Zasnął on nie tyle wybujałością talentu ile konsekwencją linii politycznej jaką sobie wytknął, uczciwą, rzetelną obroną zasad, do których po bardzo smutnych doświadczeniach rząd brytyjski musiał powrócić — niestety, z wielkim opóźnieniem — przed samym wybuchem wojny.

Po ustąpieniu swem w lutym 1938 r. Eden stał się bohaterem lewicy, a ściślej mówiąc, opozycji przeciw Chamberlainowi. Mówiono, że ma zamiar stanąć na czele nowego stronnictwa, jednoczącego żywioły z różnych obozów pod znakiem walki z hitleryzmem i faszyzmem. Pogłoski te były zupełnie bezpodstawne. Eden nie uczynił nic takiego co by się kłóciło z lojalnością wobec jego własnej partii i wogóle nie zdradzał najmniejszej chęci angażowania się w rozgrywki wewnętrznych. Po dłuższym odpoczynku na południu Francji udał się do Ameryki, gdzie witano go owacyjnie. W przeciągu prawie dwóch lat Eden stał poza rządem, nie biorąc aktywnego udziału w życiu politycznym. Były to lata największych klęsk dyplomacji brytyjskiej. Opinia publiczna domagała się powrotu Edena do władzy, jednocześnie z powrotem Churchill. Dopiero po wybuchu wojny wszedł on do rządu, początkowo jako minister dominjonów, a po objęciu premierostwa przez Churchilla — jako minister spraw wojskowych. Na tem stanowisku odbył podróż samolotem do

Egiptu, przygotowując grunt polityczny dla ofensywy brytyjskiej przeciw Włochom.

Robert Anthony Eden jest synem Sira Williama Edena, baroneta w siódmym pokoleniu. Pochodzi ze starego rodu, który wydał szereg wybitnych mężów stanu. Jest prawnikiem lorda Greya, premiera angielskiego, i potomkiem lorda Aucklanda, ministra w gabinecie Pitta, z którym łączy go podobieństwo kariery. Lord Auckland rozpoczął ją również bardzo młodo, i tak samo jak Eden, mając lat 28 był już podsekretarzem stanu do spraw zagranicznych. Eden, wychowanek szkoły w Eton i uniwersytetu oxfordzkiego, gdzie z odznaczeniem ukończył wydział nauk wschodnich, wyróżniał się w tej plejadzie młodzieży arystokratycznej, która szukała zaspokojenia swych ambicji w działalności społecznej i w polityce. Jako 19-letni młodzieniec wstąpił do wojska, odbył chlubnie kampanię wojenną i dołączył się rangi kapitana strzelców królewskich. Dwaj jego bracia zginęli, jeden na froncie francuskim, drugi w bitwie morskiej. Ojciec jego, Sir William, zamożny obywatel ziemski, znany był w swoim czasie z ekscentrycznych upodobań. Siedział przeważnie na wsi, zajmując się malarstwem, polowaniem i sportem bokserskim. Wychowaniem dzieci kierowała matka, kobieta wielkich zalet charakteru i umysłu. Jej opiece i radom Anthony, który był chłopcem nieśmiałym, roztrągnionym i marzycielskim, ma dużo do zawdzięczenia. Po wyjściu z wojska Eden kontynuował studia i w r. 1923, mając lat 26, wybrany został do Izby Gmin w okręgu Leamington Spa, który dotychczas reprezentuje.

Już pierwsze jego mowy w parlamencie, gdzie za rządów „Labour Party” walczył w szeregach opozycji konserwatywnej, zwróciły uwagę gruntownym opanowaniem tematu i doskonałą formą. Miał świetną szkołę, jako sekretarz parlamentarny Sira Austen Chamberlaina, którego stylem się przejął. Eden zostaje wkrótce podsekretarzem stanu w „Foreign Office” (1931 — 1934), a w rok później, licząc zaledwie 37 lat, ministrem, jako lord pieczęci królewskiej i specjalny delegat przy Lidze Narodów.

Gdy po raz pierwszy zjawił się na gruncie genewskim, nie doceniono go należycie. Urodziwy, elegancji, o wytwornych manierach, wzbudzał zachwyt dam, ale stare wygi Ligowe lekceważąco potraktowały tego młodego nieznanego polityką, mając przedtem do czynienia z takimi znakomitościami Anglii, jak Lord Cecil, MacDonald, Lord Reading, Sir John Simon i t. d. Prasa rozpisywała się o jego idealnie skrojonych spodniach. Natomiast mało zdawano sobie sprawę, że ten Adonis angielski jest tegim politykiem i utalentowanym dyplomata. Nie zabłąsł on efektownymi wystąpieniami, ale umiał zreczenie formułować i zawsze znaleźć odpowiednie słowo w odpowiedniej chwili. Szybko zdobył sobie poważną pozycję nad Lemanem. Nie obiecywał cudów, jak inni, nie chciał zbawiać całego świata, ale zato uczciwie i sumiennie prowadził różne mniejsze sprawy. Od mniejszych przeszedł do większych w zastępstwie swych szefów, i okazało się, że bez finezyj adwokackich i teatralnego patosu wcale dobrze dawał sobie radę. Eden dokazał sztuki nielada. Był on bodaj jedynym politykiem angielskim, który zawiązywał swój sukces osobisty Lidze Narodów. Wielu starszych i wytrawniejszych od niego posłignęło się na jej fiaskach.

Konserwatyści, którzy mieli jeszcze dawne porachunki z liberalnym Sir Johnem Simonem, z radością witali każdy udany występ Edena. Sytuacja jego była o tyle prostsza i łatwiejsza, że mógł on liczyć się tylko z jedną opinią — swego własnego obozu, a nie z trzema opiniami, jak ministrowie mniejszości koalicyjnych (grupy Simona i MacDonald). Ułatwiał to niezależność i prostolinijność, walory niezmiernie cenne w kierowaniu trudnymi sprawami przed forum Ligi. Autorytet jego w kraju i na terenie międzynarodowym szybko wzrastał, toteż, gdy w grudniu r. 1935 po ogłoszeniu planu Hoare — Laval, wzbudzona do głębi opinia publiczna Anglii zażądała ustąpienia Sira Samuela Hoare za to, że zdradził ideały Ligi, rząd Baldwiną, ugiąwszy się przed nią, nie mógł powierzyć teci spraw zagranicznych odpowiedzialniejszej osobie, niż Eden, który plan ten zaciekle zwalczał.

Rzym i Berlin powitały powrót Edena na dawne stanowisko stekiem wymysłów i szyderstw. Nic dziwnego, Eden jest obok Churchilla najbardziej zienawidzonym przez Hitlera i Mussoliniego angielskim mężem stanu. Nie mają oni powodu do radości, tem bardziej że powrót Edena odbył się przy akompaniamencie zwycięstw brytyjskich w Afryce.

Należy zaznaczyć, że Eden wykazywał zawsze w czasie swego urzędowania głębokie sympatie i zrozumienie dla Polski, przyczyniając się wydacie do zacieśnienia współpracy angielsko-polskiej.

FLORJAN SOKOŁÓW.

JADWIGA DZIEWULSKA

PRZEZ KRAJ ŚPIEWAJĄCYCH WIATRaków

Na parę kilometrów przed granicą hiszpańską, od strony Francji, pierwszy podmuch Afryki: agawy, kaktusy i żółte kwiaty, podobne do miniaturowych irysów, osadzone na wysokich, sztywnych lodygach.

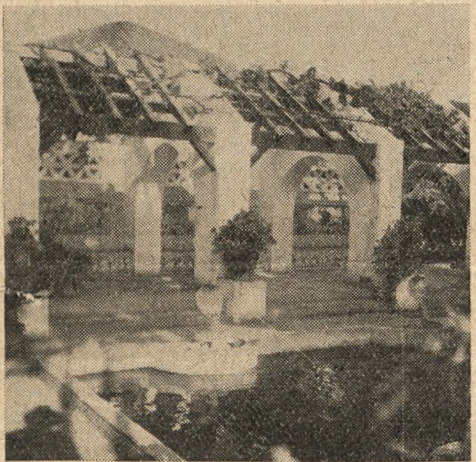
W domku kontroli granicznej dwie olbrzymie głowy wycięte z afisza i przylepione na ścianie: Franco i José Antonio. Czarna farba i dziecinne literami napis: „Saluto al Franco! Arriba España!”. O parę metrów dalej pierwsze cmentarzysko samochodów: zardzewiałe i pogięte, posiekane kulami. Na szosie pełno zielonkawej miodnicy w drelachach, pieszo i konno naklepię — frankowskie przysposobienie wojskowe.

W Kastylii zaczyna się pustynia. Słońce praży, niema drzew, ziemia jest szara, popękana i zastygła, cienia i wody można szukać naprzemno kilometrami. Zupełna cisza



Hiszpańska pustynia

i pustka. Nagie wzgórza po obu stronach usiane kepami schnącej trawy, robią wrażenie trędowatych. Krajobraz przypomina fantastyczne opisy podróży na księżyc, albo bardziej jeszcze krajobraz Farysowy. Piasek i szkielety samochodów zrytych kulami. Czasem zdaleka ukazują się ściany i mury miasteczko! — nie, to ślad po miasteczku sprzed czterech lat: gruzy, ruiny i skrzyp zwiszającej kraty. Asfaltowa szosa podumiana kołami armat i wybuchami pocisków. I wreszcie, któregoś piekielnie skwarne



Wjeżdżamy w oazę

dnia, nowa granica, tym razem Portugalii: ustępuje piasek, powraca zieleni, z pustyni wjeżdżamy w oazę. Po Hiszpanii wrażenie jest mniej więcej takie, jakby ktoś nam obiecał zdobycie w czystym następstwie tom powieści kryminalnej, ale przez rozciągnięcie przynosi — bajkę o Marysi i krasnoludkach.

Na wszystkie strony, jak okiem sięgnąć, wyrastają okragłe, zielone pagórki, a na nich po jednym, po trzy, po pięć, kręcą skrzydłami białe wiatrak. Naliczyłam ich od razu piętnaście. Kiedy podjechać bliżej — słychać



W Portugalii żadna szanująca się kobieta nie będzie nosiła kosza w ręku

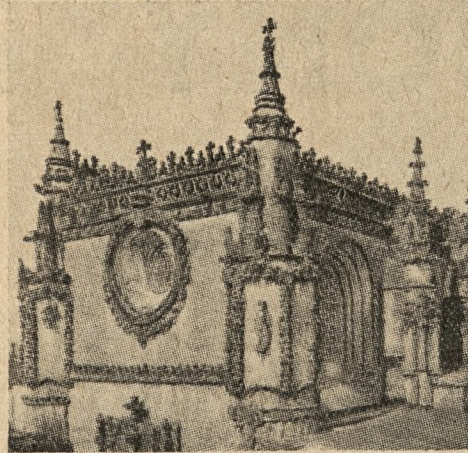
jak śpiewają. Na drodze niema nikogo, w rowie pasie się bury osioł, a dookoła nas rozbrzmiewa niska i monotonna, jak brzęczenie os, melodyjka. Zupełnie jakby wiatrak po nosem sobie nuciły. Badamy uważnie to sprawę, politykamy się na rżysku z głowami zadartymi w górę i wreszcie robimy sensacyjne odkrycie: na sznurach łączących skrzydła siedzą nanizane okragłe i wydłużone, gliniane kubeczki z dziurkami, takie prymitywne świstawki, różnych wielkości. Kiedy skrzydła się kręcą, każda dziurka wydaje trochę inny ton, daje to razem beztrószk i zabawną melodyjkę. — Poco? Żeby w nocy ktoś nieostrożny nie dostał się pod ich skrzydła.

Trudno sobie na cień tego rozbawionego krajobrazu wyobrazić kłie Don Kichota, o wiele łatwiej tłusta postać Sancho Panchy na osie. Osioł chudzi zawsze samopas. Najczęściej ma dwa kosze przetruczone po bokach, a w nich najbardziej fotogeniczne przedmioty: piramidy zielono-pomarańczowych owoców, czarne i białe kury z czerwonymi grzebieniami, albo wiązki chrustu rozczapierzone jak miotła czarownicy. Osioł i białe wiatrak, to dwa nieodzowne elementy dekoracji portugalskiej szosy.

Jeśli nałoży trochę drogi, kilkadziesiąt kilometrów, nie więcej, trasa pójdzie przez miejscowości, które wykreśliłam czerwonym ołówkiem na mapie, których same nazwy pobudzają tęsknotę, jak widok gołębia pocztowego, jak nierozpoznany list: Tomar, Batalha, Nazareth... Tomar i Batalha, to najpiękniejsze katedry gotyckie, a Nazareth, to cenniejsze się ileś tam wieków wstecz,

to rybacy w kraciastych bluzach, woły wyciągające na brzeg sieci, to miasteczka położone na wystrzelającej z wody skale i wioska rybacka w dole, a między niemi łącznik — funiculaire, który jak człowiek — mucha pnie się po prostopadłej ścianie. Chwila wahania, a potem zwrot kierownicą i dozwolna rezygnacja z wiatru od morza — jedziemy po kresce czerwonego ołówka.

Pustka na szosie. Tylko od czasu do czasu po białym pyłe stuka kopytkami senny osioł



Chór katedry w Tomar

blysz na słońcu pomarańczowe dynie w koszach, albo zejda z pagórków, w dół, ku szosie, białe wiatrak i nucią pod nosem miela słońce i cień na rżysku.

Tomar. Batalha. Trzeba wjechać pedzłem Claude Moneta aby ukazać dziwy katedry o wschodzie słońca czy w pierwszym mroku zachodu. Portugalski gotyk sprawia takie wrażenie, jak gdyby kiedyś, bardzo dawno, ocean zdecydował potop i zalał pieniejski półwysp aż po granice Hiszpanii, a potem cofając się, zapomniał i zostawił na szarym



Kanał w parku królewskim w Queluz, obmurowany niebieskimi „azulejos”

kamieniu katedr swoje muszle, gąbki i wodorosty. Obfity i bogaty gotyk „manueliński” operuje ornamentami dostarczonymi przez morze i przez żeglarzy, którym niesłusznie Kolumb odebrał sławę Vasco da Gama.

Oto poziomo, wzdłuż całego muru, idzie ornament z muszli, a każda jest inna, wszystkie rodzaje muszli jakie zna dno morza, jak w muzeum, poukładał budowniczy w porządku na ścianie. A dalej spletań i dziurkowane wodorosty, zwierzęta morskie z pletwami zamiast łap, gąbki, homary i polipy. I oczy dziwnych stworzeń patrzące z filaru. Słonne okno, które wychodzi na wewnętrzny krążanek w Tomar, ma ozdoby żeglarskie: sznur idzie dołem, a obok baszta spięta pasem z ogromną kłanrą i znów poziomy ornament obiegający całą ścianę, tym razem zamiast muszli artysta uporządkował kolejno wszystkie rodzaje żeglarskich węzłów. I mimowoli, jeden przez drugiego, zaczynamy sobie opowiadać jakby to było wspaniałe, gdyby tu zagrać sztukę w średniowiecznych strojach: publiczność usadowimy tu, na tym ganek, a akcja będzie się toczyła jednocześnie na obu koronkowych dziedzińcach i w mrocznych korytarzach, gdzie echo powtarza i klaszcze



Biały kościół błyszczy w słońcu

odgłos śpieszących się kroków, a potem nagle otworzy się okno w tej tam wieży...

— Dlaczego właściwie w tym zabawnym XIX wieku głowsy jeździli do Wenecji, a nikomu do głowy nie przyszła przepiękna Batalha?

— Bardzo proste. Zapytaj przewodnika, co tutaj było jeszcze parę lat temu.

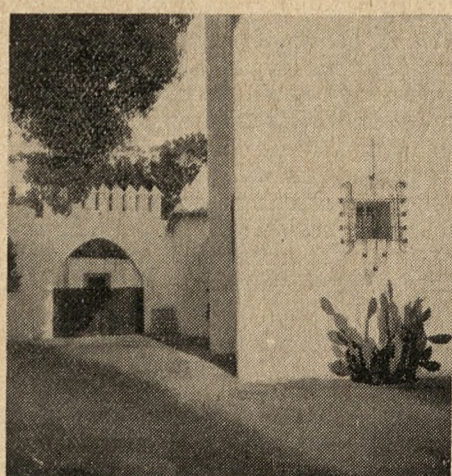
— Kino miejskie. I jeszcze dotąd nie wszystko zostało uporządkowane i odnowione.

A znów w Lizbonie przepiękny gotyk był zasłonięty — gazownia.

W centralnym punkcie wiązań kamiennych okien, które są zapewne resztkami zastępczej piany, na narożnikach ścian i przy wieżach powtarzają się, jak hasło, dwa emblematy żeglarszy — odkrywców: krzyż maltański i globus przepasany ukośną szarfą. Kiedy się jedzie szosa, między polami, daleko jeszcze od oceanu, Portugalia przypomina wież: „Wyglądamy tutaj coprawda na kraj rolniczy, ale naprawdę jesteśmy żeglarzami! Nie zapominaj o tem!”. I oto popularniejszy jeszcze od krzyża maltańskiego i globusa z wstęgą jest mały żaglowiec. Wszędzie go pełno: we wnękach i na szczytach domów i wież, na okładkach książek, na błękitnych kafkach „azulejos”. Widziałam dożywkową koronę z kłosew: dookoła nadziane sztorcem, sterzają płaskie bochenki, podobne do brunatnych płaczków, ale na szczycie tej korony z rozpostartymi skrzydłami królowała — mewa. Okręt na dachu piekarni i mewa na koronie z kłosew — oto sens Portugalii.

Jedziemy dalej pustą zupełnie drogą, i nagle po obu stronach zakwitają czerwone pelargonie. Domki są rozsiadane rzadka, daleko, a jednak pelargonie towarzyszą nam długo, uparcie, aż do samego prawe Nazareth. I oto jak westchnienie ulgi przychodzi podmuch, budzi liście, wzrusza gałęzie. Ocean jest niedaleko.

Zza rogu wyjeżdża wóz ciągnięty przez parę wołów. Na widok tego wozu hamujemy gwałtownie — jest w tem coś tak nie z dzisiejszych czasów. Wóz ma koła owalne, wznosi się powoli i opada, jak morze w czasie przypływu, naładowany wysoko moeno ubitym chróstem z wystającymi ostro czterema rogami. Stary chłop, zgarbiony, dotyka pretem czoła wołów, i posłuszne zwierzęta skracają w boczną drogę. Chłop ma na głowie czarną czapę, która przypomina poczocho, a na sobie najbardziej malowniczy strój: spodnie barchanowe, ściągnięte przy kost,



Fragment wystawy w Lizbonie

kach, w czarno-pasowo-żółtą kratę i bluzę, także w kratę, ale znacznie drobniejszą, zestawienie kolorów trochę zmienione, zamiast czarnego — pomarańczowy.

Samochód pnie się na mały pagórek, potem na lewo, w dół, wreszcie wjeżdża w mrowisko wąskich uliczek, jeszcze raz skręca, i oto przed sobą mamy plażę, lodzie na piasku i sieci, a na wargach czujemy słony smak. Na prawo wyrasta prostopadła skała na ileś tam pięter w górę, a tam, hen na szczycie jest Nazareth, miasto, którego stąd weale nie widać. Legenda o św. Hubercie znalazła wśród mieszkańców Nazareth swoistą interpretację — oto na prymitywnych rysunkach, albo też haftowana czerwona nicią na białym płótnie, przedstawia jeżdżca na spienionym koniu mknącego po skale, i jelenia, który się rzuca w dół, w morze. Zawsze ma przytem głowę odwróconą w tył i ogromnymi żaloznami oczami spogląda na jeżdżca. Nazareth — miasto interesuje nas daleko mniej, wolimy zostać na dole. Na plaży otacza nas rój przedziwnych postaci: mężczyźni i kobiety w kratkę. Zawsze przytem spódnice i spodnie różnią się od bluzy zestawieniem kolorów i rozmiarów. Cóż za przepyszne połączenia! Ciemny fiolet, czerni i pomarańczowy. Albo odważnie umieszono obok siebie: niebieski z zielonym. (Kiedyś szkockie fabryki zalewały portugalski rynek swoimi kraciastymi bawełnami. Nazaretanicy tak to przypało do gustu, że zaczęli sami wyrabiać kratkowane arecydzia, wprowadzając przytem zupełnie nowy, niespotykany dobor kolorów).

Słońce zachodzi, temperatura obniża się nagle, wędrujemy od domku do domku w poszukiwaniu noclegu. Znajdujemy wreszcie pokój w domu niebieskim od „azulejos”. Jeśli popatrzyć przez chwilę oczami historyka sztuki, w Hiszpanii uderzy każdego wielka ilość krat, cudowne, późnogotyckie, bogate kraty kute w żelazie, a w Portugalii znów kafle, t. zw. „azulejos”. Większość domów ma całe ściany, a przynajmniej do połowy, pokryte wzorzystymi kafkami, które najchętniej są niebieskie (stąd nazwa) albo koloru morskiej wody. W Portugalii pół roku słońce praży bez przerwy, a drugie pół roku pada — także bez przerwy. Kafle bronią przed zaciekami i obrzydliwym wyglądem.

Kafle są przesłizne. Fabryki prześcigają się w pomysłach. W parku pałacu w Queluz jest sztuczny kanał, zarośnięty rzęsa, obmurowany kafkami, na których pomysłowy autor przedstawił całe sceny z dworskich

polowań, spacerów dam po parku, sceny miłosne i matkujące boginie. A na dworcach kolejowych białe ściany zabudowań obsiadło kafelkowe ministerstwo propagandy: niebieskie rysunki przedstawiają najpiękniejsze zabytki sztuki, Tomar, Batalha, stroje ludowe, prądky albo kobiety maltujące dzbanki. Studnie uliczne mają tło z kafli, ławki ogrodowe porożce, św. Teresa z błękitnej tafli strzeże murów prywatnego pałacu. W budownictwie portugalskim widać ślady dalekich wypraw



Baszta w Tomar

żeglarskich i egzotycznych łądów. Np. w rysunku dachu jest coś z chińskiego, z czterech stron cztery metalowe rogi odgięte ku górze, zdaleka przypomina to sylwetkę pagody. Przy domu szmerzą ostre liście palm, za domem, na piasku leży żaglowiec. Na białym płótnie maltańskie krzyże, czerwony, granatowy, albo zielony, zależnie od tego której z trzech panujących kolejno w Portugalii dynastii właściciel jachtu jest wielbicielem. Najczęściej jednak żagiel jest w jednym kolorze: pomarańczowy albo



Ozdobna łódź poławiaczy sardynek

szary. Moje sympatie są po stronie pomarańczowego. Widać go zdaleka na wodzie i wygląda dziwnie radośnie, jakby się śmiał.

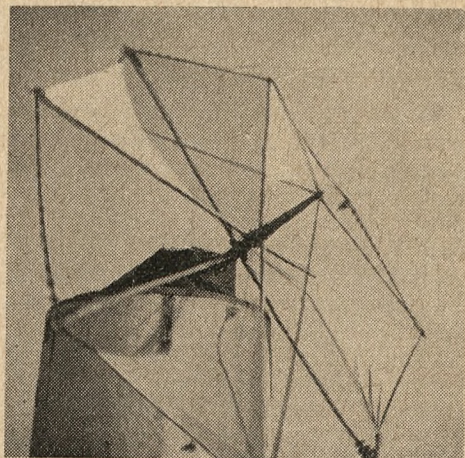
Do Lizbony trzeba koniecznie wjechać od strony morza, z pięknego placu de Commerce, bo wtedy miasto otwiera się przed nami, jak przepyszny, kolorowy wachlarz, siecią równoległych, staroświeckich uliczek. Elegancka publiczność ucieka stąd na szeroką i nowoczesną, wyasfaltowaną Avenida da Liberdade, której środkiem ciągną się trawniki i palmy, bokami — hotele dla cudzoziemców i kawiarnie, a na skrzyżowaniach stoją białe pomniki. Domy, niebieskie, różowe i żółte, wyglądają jak ogromne pomadki. Kioski sprzedają pisma z całego świata, dużo amerykańskich nowości filmowych, tygodniki brazylijskie, na murach jaskrawe afisze przedstawiają dramatyczne sceny z walki byków, na rogu sprzedawcy biletów zachęcają cudzoziemca: — corrida! corrida!

W Portugalii już od stu lat walki byków przestały być krwawe. Kiedy książę d'Arcos został śmiertelnie ranny na arenie, markiz de Pombal zdecydował, że „Portugalia nie jest na tyle zaludniona, żeby za każdym razem poświęcać człowieka bykowi”. I odtąd byk

jest „emboledo”, t. zn. że na końcach rogów ma metalowe naparstki z okragłymi główkami, które łagodzą niebezpieczeństwo ciosu. Walka o śmierć i życie przemienia się w igrzysko zręczności. Wierchowcom także nie grozi niebezpieczeństwo, toteż zamiast zdychających szkap hiszpańskich, jakież wspaniałe, rasowe konie wypuszczają na arenę!

Wystawa światowa w Lizbonie jest najpiękniejszą jaką widziałam. To nie zbiorowisko pawilonów budowanych niezależnie od siebie, zrzuconych przypadkowo na jedną powierzchnię, to przemyślana, dojrzała całość. Całość w słońcu, na krawędzi oceanu, który w nagrzane powietrze przynosi trochę swego oddechu, całość spięta od strony miasta perłą manuelińskiego gotyku — kościołem św. Hieronima.

Ale mówiąc o wystawie niesposób nie



Wiatrak z glinianymi świstawkami

wspomnieć o Salazarze. Oto mieszkalam w Portugalii około miesiąca, chodząc po sklepach, redakcjach, urzędach, pilnie oglądając witriny wystawowe na ulicach, przglądając się w kinie filmom portugalskich aktualności. Nigdy, ani razu nie widziałam fotografii Salazara i dotychczas niebardzo wiem jak wygląda. Dyktator osobliwy. Przecież każdy z tego gatunku ludzi, począwszy od Hitlera, poprzez Franca, a skończywszy na Rydzu i nie Rydzu, karmi swój naród, swoją publiczność, codziennie pokazywa-



Tresura młodych wołów

niem swojej fizjognomii, w najrozmaitszych odmianach, przy rozcinianiu wszelkiego rodzaju wstęp wystawowy i zjadaniu wszelkiego rodzaju śniadań. A tu nie, nie, nie. Salazar pracuje po ciemku, skrycie, bez aparatu i ostentacji nad dobrobytem swej ojczyzny, który powstał właśnie w jego epoce.

Wystawa w Lizbonie przypomina dawną świetność tego narodu. Portugalczycy jeździli tam, gdzie nikt dotąd nie dotarł, i wtedy, kiedy nikt się jeszcze nie odważył. Jeździli do Ameryki, Chin, na ocean



Na murku przy plaży siedzi miła paretka w kratkę

Lodowaty. Morza i oceany, choćby najgorętsze, mają tę wspólną cechę z Północą, że pobudzają tęsknotę. Uczniowie, nieokreślone i kłliwe, jest jakby bratem śniegoma, zmierzchowi, dalekiej Północy, nieomal pramiom zrozrytych polarnych. I oto bliskoko oceanu stworzyła lizbońska egzotyka, t. zn. „fado”. Co to jest „fado”? Urdziona w knajpie portowej przy gitarze pół-piosenka, pół-deklamacja, improwizowana na temat ostatnich aktualności, a więc coś w rodzaju szopki politycznej, a innym znów razem potrzeba wypowiedzenia dumy i zachwytu dla swego kraju, więc podanie ludowe czy legenda transponowana na język poetów, zawsze melancholijna i smutna, to jest to słynne „fado”, które z szynków przewędrowało do śródmieścia Lizbony. Kiedy „fadista” albo „fadistka” w czarnym szalu wychodzi na estradę, cisza kościelna zaplanowuje w najbardziej halasliwej i zadymionej knajpie na białą temu, jakby ktoś odnawiając litanie za niepowracających do portu zobaczył nagle w rozkołysanej mgłę kontur okrętu, jest w tem żalony krzyk spłoszonej mewy. Warto zobaczyć i azulejo i manueliński gotyk, i nie zobaczyć Salazara, i widzieć wystawę, i usłyszeć „fado”.

JADWIGA DZIEWULSKA

W niedługim czasie ukaże się nakładem M. I. Kolina

„OGNIEM I MIECZEM“

Henryka Sienkiewicza

w 4 oprawnych tomach